Zbereźnictwa...

DLACZEGO TYLKO DZIEŃ?

W walce o odżydzenie wyższych uczelni, studenci Polacy wprowadzili bardzo miły obchód „dzień bez żydów", w którym można zobaczyć uczelnię w takim stanie, w jakim będzie za lat kilka, mianowicie nie wpuszcza się wtedy ani jednego żydziaka.

Mam tylko pretensję do organizatorów o jedno. Robi się „tydzień gór", tydzień LOPP", dalej cały szereg różnych innych tygodni, dlaczego więc, o ile chodzi o żydów, to tylko jeden dzień.

To nawet nie wypada. Sami żydzi mogą się obrazić, że się ich tak lekceważy.

Proponuję więc zaprzestać nareszcie robienia „dnia bez żydów", a urządzić na razie „tydzień bez żydów".

A następnie tą imprezę można będzie rozszerzyć i za przykładem „miesiąca książki" urządzić taki sam miesiąc na uczelniach. Na pewno taka impreza spotka się z entuzjastycznym przyjęciem olbrzymiej większości Polaków.

Na dalszym zaś planie leży naśladowanie „roku polarnego" i urządzenie „roku bez żydów". Później się taki rok tylko przedłuży i sprawa zażydzenia wyższych uczelni będzie rozwiązana.

Skończmy więc nareszcie z tym dniem.

B. REZA

Honorarium maleńkiej księżniczki
w monetach półpensowych

W Anglii ukazała się książka C. Asklid pt. „Królewska córka".

W książce są zawarte liczne epizody z życia małych księżniczek i anegdoty charakteryzujące przyszłą królowę Anglii, księżniczkę Elżbietę, oraz jej siostrę ks. Różę Małgorzatę.

— Jeżeli zostanę kiedyś królową powiedziała pewnego razu Elżbieta, to przede wszystkim zabronię jeździć konno w niedzielę. Zwierzęta też powinny mieć dzień odpoczynku...

Księżniczka Małgorzata, oświadczyła, gdy jej ojciec został królem:

— Naprawdę jak to przykro. Ja dopiero teraz nauczyłam się podpisywać bez błędu swoje nazwisko „Księżniczka York", a teraz mi mówią, że już nie mogę się tak podpisywać, że teraz jestem po prostu Małgorzatą. Widocznie odkąd mój ojciec został królem, to ja jestem już niczym.

Sir James Barry autor znanej książki dla dzieci „Peter Pan" był ogromnym przyjacielem obu księżniczek. Księżniczka Małgorzata powiedziała mu pewnego razu:

— Pan jest moim najlepszym przyjacielem, a ja jestem najlepszą pańską przyjaciółką.

Barry wstawił te słowa do swej ostatniej sztuki „Mały Dawid" i kiedy sztukę wystawiono na scenie przyniósł księżniczce Małgorzacie worek pół pensowych monet — jako honorarium za sztukę, którą napisali do spółki.

Księżniczka Elżbieta

Z teatru o teatrze

Świt na bagnie

TEATR ATENEUM: GABRIELA ZAPOLSKA „PANNA MALICZEWSKA", SZTUKA W 3-ch AKTACH.

Ponura, wiecznie tonąca w mroku suterena, pełna zapachu mydlin, z buchającą parą balią na środku — opryskliwa i obskurna praczka — uczeń sierota, biedak i suchotnik, żywiący się czarnym chlebem i łacińskimi słówkami — statystka z opery, marząca o sławie, a tonąca w długach i w nędzy — to jeden świat, ten pod poziomem ulicy.

A drugi — to świat na pierwszym piętrze, to podstarzały adwokat, zamożny pan w meloniku i bogatym futrze, ozdoba „wyższych sfer", okrywający sztywnym gorsem wytwornej koszuli łajdacką duszę rozpustnika i brutala, sparszywiałe serce burżuja, rozprawiającego o honorze i godności, a nie zasługującego na podanie ręki — to żona jego filantropka „z zasadami", dumna ze swej misji podnoszenia „upadłych" dziewcząt, lecz „wkraczająca" dopiero wówczas, gdy „upadek" posunął się już odpowiednio daleko — to wreszcie przyjaciel adwokata, gentleman z pozoru, a w istocie jak kropla wody podobny do pierwszego.

Obydwa te światy odmalowane z pasją, z przejęciem, z fotograficzną wyrazistością, jaskrawo. Zetknięcie ich tworzy odrażające bagno podłości i zakłamania, niesprawiedliwości i zbrodni, udrapowanych płaszczem dostojeństwa, godności i zasad...

Dziś, kiedy patrzymy na wnętrze sutereny, tak plastycznie, z realizmem odtworzone na scenie teatru Ateneum, gdy wraz z autorką wnikamy w sprawy ludzi z piwnic — patrzymy na ich tragedię, jak na rzeczywistość dobrze nam znaną. Takie jaskinie nędzy i smutku, jak suterena praczki Żelaznej znaleźć możemy prawie w każdym domu warszawskim, dlatego może widok ich na scenie nie wstrząsa nami tak, jak widzami współczesnymi Zapolskiej.

„Panna Maliczewska" była niegdyś krzykiem protestu przeciwko ohydzie stosunków społecznych. Biegnąc przez lata, krzyk ten osłabł nieco. Zmieniły się pojęcia, przywykliśmy do wielu rzeczy, zresztą nie tracimy czasu na bierne protesty — czynem zmieniamy życie, walczymy o nowy porządek i nową moralność. Dziś „Panna Maliczewska" jest fotografią rzeczywistości, nabiera znaczenia „memento" w pracy nad budową nowego życia.

Ludzie z „Panny Maliczewskiej" to źli, smutni, nieszczęśliwi ludzie. Jedyny piękniejszy, radośniejszy ton — to młodzieńczość i uczucie Filo Dauma. Zapolska ani słowem nie wypowiada przypuszczenia, że Edek, Filo i ich koledzy nie pójdą drogą ojców, że zmienią coś w życiu na lepsze. Dziś wiemy, że oni to zrobią. Dziś właśnie oni są jedynym jasnym punktem w mrokach świata suteren i tego z pierwszego piętra. Idealizm młodzieńczy w „Pannie Maliczewskiej" to jakby świt wschodzący na bagnie.

„Pannę Maliczewską" wystawiono w Ateneum znakomicie. Perzanowska, jako reżyserka nie tylko nie uroniła nic z wielkich walorów scenicznych sztuki, lecz uwypukliła je i wartość sztuki podniosła nadaniem jej wyrazu i siły. Teatr Ateneum wyspecjalizował się w przemawianiu do widza jak mało który, a reżyseria Perzanowskiej jest tak sugestywna, że tę tradycję czyni jeszcze świetniejszą. Niemałą pomocą przy osiągnięciu efektów plastyki widowiska są bardzo dobre dekoracje (czyje?), zwłaszcza w akcie pierwszym.

Perzanowska gra rolę Michasiowej bardzo naturalnie, przekonywująco. Utwierdza w pewności o swym wielkim talencie.

Jadwiga Andrzejewska, dawno nie widziana na scenie, wykazuje również, że talent posiada. Zdaje się jednak, że nie rozwinęła go jeszcze dostatecznie. Jest bardzo dobrym materiałem, który właściwie opracowany, może dać wspaniałe wyniki.

Na czele pozostałego zespołu postawić trzeba niewątpliwie **Helenę Gruszecką**. W roli praczki Żelaznej jest wprost znakomita.

Na pochwałę zasługuje również **Chmielewski i Kalinowicz.**

Wyróżnili się: **Pośpiełowski i Łuszczewski.**

Stanisław Grzelecki

Doktór Stefan Sienicki
Wystawa malarska na Wydziale Architektury P.W.

Praca malarska jest zawsze dla architektów i studiujących architekturę studentów czymś co przyczynia się do pogłębienia ich reakcji na plastykę. A tego w architekturze nie można lekceważyć.

Widziałem wystawę z roku ubiegłego i muszę przyznać, że poziom wystawy obecnej jest znacznie wyższy i że kierunek w jakim wystawy poszły rokuje im dużą przyszłość. A wprowadzenie zupełnie nowego elementu w postaci jednoczesnego pokazu prac wykładowców i studentów może dać wyniki bardzo dobre. Bo niewątpliwie nie minie bez pożytku zobaczenie przez studentów realizacji tych wszystkich uwag, jakie w przeciągu szeregu lat w czasie korekt od dr. Sienickiego słyszą.

Dr. Stefan Sienicki — docent przy katedrze rysunku odręcznego, którą prowadzi prof. Zygmunt Kamiński, zaprezentował 11 obrazów, będących notatkami z ostatniej jego podróży do Włoch. Sienicki operuje akwarelą w połączeniu z czarną kredką. Materiał nie jest zbyt wdzięczny, a połączenie jest przecież ryzykowne. I jeżeli na co trzeba zwrócić uwagę, to w pierwszym rzędzie na samą metodę łączenia technik. Kredka nie jest u niego elementem samodzielnym i nie pokazano jej obok akwareli. Bo przy jej pomocy dr. Sienicki wydobywa wszystkie potrzebne mu walory i akcenty. Akwarelę zakłada dużymi, naświetlonymi plamami, a stonowania i całą grę pokazuje przy pomocy odpowiedniego naciśnięcia i położenia kredki.

Dr. Sienicki, wyzbywając się, z założenia, każdego niepotrzebnego efektu, rozmawia z widzem tak spokojnie, że przy żadnej z jego prac nie odnosimy wrażenia jakoby chodziło mu tylko o błyśnięcie ładnym zestawieniem, lub interesującym fragmentem. Sienicki wycinek krajobrazu komponuje tak, że na plan pierwszy wysuwa swoje ogólne wrażenie i to ogólne wrażenie przekazuje w całej atmosferze obrazu. Trudno jest znaleźć choć jeden element, któryby chociaż w najmniejszym stopniu tę atmosferę mącił, lub likwidował.

Na specjalne wyróżnienie, zasługuje wnętrze, wykonane tylko kredką. Może nigdzie nie ma tyle wyrazu, poczucia przestrzeni i tak subtelnej gamy zróżnicowanej, jak w tej pracy.

Omówienie prac studenckich, pokazanych na tej wystawie podam w numerze niedzielnym.

Jerzy Stokowski

Życie kulturalne

ANGLICY O COCTEAU

W ostatnim numerze „The New Stetesman ond Nation" omawia krytyk angielski, G. W. Stonier, najnowszy reportaż znakomitego pisarza francuskiego, Jana Cocteau: „Naokoło świata w 80 dni". Stonier podkreśla niezwykłe walory Cocteau: „Nikt nigdy nie pisał od niego przejrzyściej". Rzym uderza pisarza swym bezwzględnym, natrętnym wprost dla cudzoziemca uwielbieniem dla Mussoliniego, z niezliczonymi plakatami na murach miast. W Kairze zastaje Cocteau martwotę i senność — wody rzeki, zatruwającej swym zapachem okolicę — „są bezwątpienia przystosowane do gustu krokodyli (cyt. za Stonierem). — Z prawdziwie kiplingowską plastyką oddaje Cocteau egzotyzm Azji, Bombaju i Hong - Kongu. „Magia" i sugestywność słowa — to najbardziej wydatne cechy artyzmu znakomitego przywódcy młodej katolickiej literatury francuskiej.

SEMINARZYŚCI Z AFRYKI WSCHODNIEJ W WATYKANIE

W semestrze zimowym obecnego roku akademickiego udają się do Rzymu po raz pierwszy w dziejach Afryki wschodniej — trzej seminarzyści — tubylcy z wikariatów: Zanzibaru, Kilimandżaro i Szyry do Rzymu, by tam kontynuować swe studia w papieskim Kollegium Propagandy. Zostali oni wyznaczeni do tej zaszczytnej podróży z wyboru — jako najgorliwsi z pośród imponującej liczby 268 kandydatów do stanu kapłańskiego z 9 wielkich seminariów Afryki wschodniej. Wraz z nimi mają udać się do Rzymu dwaj murzyńscy klerycy z Afryki zachodniej.

JERZY MARIUSZ TAYLOR 18)

CZCICIELE WOTANA

POWIEŚĆ

A księżna jakby oczekiwała na wynik tego szperania, bo nie zniecierpliwiła się bynajmniej, lecz stała śledząc wzrokiem rękę gajowej, plądrujące w czeluściach tajemniczego kuferka. Ciotka znalazła widać wreszcie to, czego szukała. Krzywiąc się trochę i postękując cichutko, podniosło się z klęczek z zaciśniętą w dłoni małą czerwoną chusteczkę, zawiązaną w wielokrotny supeł. Zbliżyła się do księżny powoli, jakby spełniała jakąś doniosłą ceremonię, i doręczyła jej ten węzełek.

— Tu jest przedmiot, o który pytała księżna pani — powiedziała. — Pan Bóg lubi niekiedy okazywać swą łaskę ludziom, chociaż niewiele kto może się pochlubić, że na tę łaskę zasłużył.

Słowa te zabrzmiały jak tajemnicza przestroga i księżna tak je zrozumiała zapewne, bo z widocznym wzruszeniem pochwyciła czerwony węzełek i ukryła go natychmiast w fałdach swojego wspaniałego futra. A serce Anki ściągnęło się w tej chwili takim żalem, jakby księżna przywłaszczyła sobie coś, co powinno było być jej i tylko jej własnością. Zaraz potem zresztą wpadła w stan dziwnego oszołomienia. Wszystko dokoła stało się jej jakieś obojętne i obce. Nie odezwała się ani słowem do Przetockiego, kiedy zwlókłszy się z łóżka, odziany z pomocą Gołąbkowej i otulony w swoją wiatrem podszytą jesionkę, oddalał się, podtrzymywany przez księżnę.

Nawet głową mu nie kiwnęła, choć od progu jeszcze odwrócił się i żegnał ją spojrzeniem, w którym inna dziewczyna dopatrzyłaby się może czegoś więcej niż samej ty o wdzięczności. Nie ruszyła się z miejsca i wtedy, kiedy głośne trzaśnięcie z bicza i suchy zgrzyt szorujących po śniegu płoz zwiastowały jej, że skończyło się wszystko.

Gajowa powróciła z twarzą, rozpromienioną niezwykłym, radosnym spokojem.

— No — powiedziała, zamykając drzwi, — czegoś podobnego nie spodziewałam się nigdy. Pomyśleć tylko, że po tylu latach w sercu tej kobiety obudziło się uczucie i że odnalazła go tutaj właśnie. Aż wierzyć się nie chce, aby to było możliwe.

Mówiła półgłosem, jakby sama do siebie, chodząc po izbie energicznymi, prawie męskimi krokami, nie licującymi zupełnie ze wzruszeniem, dźwięczącym w jej głosie. Po chwili dopiero przypomniała sobie o siostrzenicy.

— Anka! A tobie co, dziewczyno?

Odpowiedzią był głośny wybuch płaczu. Gajowa przypatrywała się dziewczynie ze skupioną uwagą i nagle na surowej jej twarzy ukazał się przelotny uśmiech. Wzięła dziewczynę w ramiona tak czule, jak nie czyniła tego nigdy.

— Cicho, córuchno! — mówiła tuląc ją do piersi. — Cicho! Nie frasuj się tak bardzo. To przeminie. Zobaczysz, że przeminie — zapewniała pieszczotliwie a przekonywująco. — Powiedz sobie, że nie widziałaś go nigdy.

— Ależ widziałam, wi...dzia...łam — szlochała Anka. — I... i... księżna mi go za... za... zabrała. A ja... ja... nigdy go nie zapomnę...

Gołąbkowa przygarnęła dziewczynę jeszcze czulej.

— Nic nie wiesz, dziecko — szepnęła. — To przecież jest jej syn.

ROZDZIAŁ IV

DR JOHNKE ZMIENIA TAKTYKĘ...

Nadchodził czerwiec. Szkoła w kolonii Na Grobli zakończyła swój rok, podobnie jak tysiące innych szkół wiejskich, a jej kierownik dr Zygfryd Johnke rozpoczynał nowy okres pełny troski. Najniebezpieczniejszy to był czas — te ferie letnie, kiedy gromadka, którą z takim trudem starał się przyswoić kulturze ogólnoniemieckiej, rozpraszała się nagle do zwykłych swych zajęć — do pasania gęsi czy krów, do pomagania rodzicom przy opielaniu sadów czy ogródków. Wśród tej pracy codziennej, zawsze jednakowej i zawsze pochłaniającej wszystkie siły, co młodsi chłopcy musieli niechybnie zatracić, jeżeli już nie całość, to przynajmniej część tego, czym przez zimę zdołał naszpikować ich rozwichrzone jasne głowiny.

Możliwość taka przejmowała go zgrozą. Miałżeby pójść na marne trud całego roku szkolnego? Napracował się przecież dosyć nad tymi chłopakami. Poza programem oficjalnym zbierał ich co dnia na pogadanki, w czasie których starał się wpoić im wszystkim przekonanie o niezłomnej potędze niemieckości, która powinna była zapanować nad światem. Bystrzejszym dawał do czytania przeróżne dostosowane do ich wieku broszury propagandowe, które tajemniczymi drogami otrzymywał z zagranicy, a mniej zdolnym przy każdej sposobności nakazywał po prostu przepowiadać głośno formułę:

— Jestem Niemiec i Niemcem pozostanę i Niemcami będą moje dzieci i wnuki.

Płowowłose bachory pamiętały, że mają pozostać Niemcami i że nie wolno im rozmawiać z kolegami inaczej jak po niemiecku. Och, póki byli w szkole, pamiętali o tym doskonale. Przecież już na pierwszej lekcji gruby Hans Strecke oberwał trzcinką po łapie za to, że z głupoty popisał się znajomością polskiego języka, witając nauczyciela głośnym „dzień dobry"! Inni też zarobili sobie z czasem na podobne kary, lecz z biegiem tygodni zrozumieli, o co chodzi i, chociaż niekiedy nasuwało się im przy odpowiedzi natrętnie jakieś polskie słowo, zasłyszane podczas zabawy z dziećmi polskich wsi sąsiednich, to woleli milczeć raczej, niż dostać po łapach. Z czasem też trzcinka stała się niepotrzebna, a pod koniec roku szkolnego Herr Doktor nie potrzebował już używać zupełnie.

Ale niebawem zdarzył się wypadek, którego Herr Doktor nie omieszkał umieścić w raporcie, wysyłanym co tydzień do Berlina. Gdzieś około Bożego Narodzenia zawitał do szkoły kolonista Strecke — ojciec grubego Hansa. Przyszedł ponury jak noc, z rękami w kieszeniach, a kiedy nauczyciel wyszedł na ganek, kolonista zaczął od wymówki.

(D. c. n.).